



Tatuaze pełne „wrażen”

Kiedyś ich znaczeniem były obrzędy rytualne, dziś to stylowe i często kontrowersyjne znaki na ciele. Kto w dzisiejszych czasach nie myślał o zrobieniu sobie tatuażu? Coś specjalnego, co mogłoby podkreślić wygląd i scharakteryzować własną osobowość. Ale czy ludzie pamiętają o zagrożeniach z nich płynących?

Ania K. skończyła osiemnaście lat z myślą o jak najszybszym zrobieniu sobie tatuażu. Jej celem był napis na karku „Carpe diem”.

– Wszystko szło po mojej myśli. Nie musiałam słuchać gadania rodziców, bo w końcu byłam już pełnoletnia, poszłam do zakładu, a tam przyjęli mnie z taką radością, że ja sama nabrałam odwagi na zrobienie sobie stałego znaku – mówi.

Większość z nas chciałaby być tą jedyną, nietypową i oryginalną osobą, na którą każdy zwracałby uwagę. Ankieta telefoniczna przeprowadzona w 2010 roku wśród Amerykanów w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu lat wykazała, że jedna czwarta badanych ma tatuaż. Teraz jest ich zapewne więcej.

Ania po wyjściu z zakładu przez pierwsze dwa tygodnie czuła się wspaniale i chociaż musiała uważać na siebie, wszyscy jej gratulowali odwagi za dwudziestocentymetrowy napis na plecach.

– Po trzech miesiącach z dnia na dzień było coraz gorzej. Okazało się, że mam przewlekły za-

nik mięśni bezpośrednio przylegających do tatuażu. Nastąpił on w wyniku uszkodzenia nerwów do nich dochodzących. Wiązało się to z osłabieniem mięśni, mrowieniem, zmniejszeniem precyzji ruchów, a następnie paralizem. Trwało to cztery lata i mogę śmiało powiedzieć, że ten czas był do tej pory najgorszy w moim życiu.

Sytuacje podobne do tej, w której znalazła się Ania, są spotykane dość rzadko. Chodzi tu jednak o przestrożę dla młodych ludzi.

– By uniknąć kłopotów, powinniśmy zwrócić uwagę, czy w studiu tatuażu zachowywane są zasady higieny. Sprzęt musi być profesjonalny i odpowiednio zabezpieczony. Przyjrzyjmy się, czy pracownik wykonuje swoje zadanie w jednorazowych rękawiczkach, a wszystkie elementy wyposażenia są zdezynfekowane – przestrzega Adam Lenowski, dermatolog.

Godziny spędzone w szpitalu, operacje, rozmowy z lekarzami to tylko niektóre z problemów, jakie ma za sobą Ania.

– Na początku czułam się okropnie. Wszystko sprawiało mi ból, zastanawiałam się, kiedy to się skończy. Liczyłam dni i godziny. Lekarze nie potrafili określić stanu mojej choroby. Wydawało mi się, że mogę tego nie przeżyć. Rodzice byli przy mnie, kiedy było mi źle. Znajomi, którzy wcześniej prawili mi komplementy na temat tatuażu, zignorowali

całą sprawę. Po kilku miesiącach znalazłam lekarza, który potrafił mi pomóc – opowiada z ulgą.

Nieczęsto zdarza się to szczęście, że osoba potrzebująca wsparcia znajduje je od razu. Są problemy, których nawet medycy nie potrafią przeskoczyć. Najważniejsza wtedy jest wiara w lepsze jutro. To ona dodaje odwagi i siły.

– Było mi ciężko, ale z czasem pogodziłam się z tym, co się stało. Po wielu operacjach doszłam do siebie i wiem, że w życiu zdarzają się wzloty i upadki. Nadal moim życiowym motto jest

„carpe diem”. Mimo że nie jest to napisane na moim ciele, i tak staram się żyć chwilą – mówi.

Teraz Ania jest szczęśliwą kobietą, która nie myśli o oryginalności. Po prostu jest sobą i uważa, że to w życiu jest najważniejsze.

Tatuaże to nic złego. Trzeba po prostu uważać i zapobiegać takim wypadkom. Zbadanie swojej skóry przed zabiegiem jest konieczne i nie należy tego odlewać.

MONIKA DRABCZYŃSKA
monikadrabczynska@op.pl



Fot. Maja Szydłowska

Najstraszniejsza zmora kreatorów

Pisarz, muzyk, architekt, dziennikarz, malarz czy chociażby uczeń. Każdy z nas musi nieraz użyć swojej wyobraźni i stworzyć coś kompletnie nowego. A wtedy często pojawia się największa przeszkoda. Straszny, przerażający, okropny, mrozący krew w żyłach... brak weny.

Termin na oddanie pracy ustalony od dawna, nasz nauczyciel/mentor/klient czy ktokolwiek

inny już za kilkanaście godzin ma ją odebrać, a my... siedzimy z głową na biurku, wyczerpani

jak nigdy. Wokół nas walają się tony papierów i kolejne filiżanki po kawie. Jesteśmy załamani, bo

nasze dzieło powinniśmy skończyć już dawno, ale nawet nie zaczęliśmy. Czasu mieliśmy sporo, ale odkładaliśmy to na później. Teraz nie mamy nawet wstępu. Permanentna blokada umysłu. Nie możemy wymyślić kompletnie nic! Świetnie zdajemy sobie sprawę, że jeśli zaraz na coś nie wpadniemy, będzie z nami... bardzo źle. Co teraz?

Obowiązuje tutaj zasada stara jak świat. A to znaczy, że na każdego zadziała co innego. Jednemu pomoże zrobienie sobie gorącej, mocno słodzonej herbaty, drugiemu włączenie ulubionej piosenki, trzeciemu krótki, przyjemny spacer, czwartemu ciężki, wyczerpujący trening. A piątego wena dopadnie jeszcze przed wschodem słońca, o piątej nad ranem.

– Wydaje mi się, że siła naszej weny jest odwrotnie proporcjonalna do długości przerwy, jaką robimy sobie w danej czynności – stwierdza Marta, studentka Politechniki Wrocławskiej, hobbistycznie zajmująca się malarstwem. – Niemniej jednak mam wrażenie, że najlepsze natchnienie do tworzenia nachodzi wła-

śnie wtedy, gdy zajmujemy się zupełnie czym innym.

Jednak wracając do przedstawionej wcześniej sytuacji. Mamy ostatnie kilka godzin, ale brak nam sił i motywacji. I przede wszystkim weny. Może rzeczywiście zdecydujemy się na chwilę odsapnięcia, zajmijmy się czymś przyjemniejszym i coś nas w końcu natchnie do tworzenia? Warto też posłuchać o sposobach poszukiwania weny przez innych:

– Jeśli mam coś stworzyć, a nie mogę wpaść na żaden ciekawy pomysł, szukam inspiracji wokół siebie – opowiada pan Mieczysław, architekt. – Rozglądam się, przeglądam czasopisma. Bodziec do tworzenia można znaleźć właściwie we wszystkim. W moim zawodzie często po prostu siada się i zaczyna rysować to, co ma się właśnie w głowie. Po jakimś czasie można się w tym mocno zagłębić.

Więc już wiemy, że na uzyskanie weny nie ma jednego, sprawdzonego sposobu. Strzeżmy się presji czasu, bo to ona ma największe szanse nas zgubić. Ja problem mam z głowy, ponieważ artykuł, który mam oddać za niecałe trzynaście godzin, właśnie został skończony.

MACIEJ SZYDŁOWSKI
maciek9716@gmail.com



Okiem
RecenzentaW mrokach
duszy

W swojej sztuce przedstawia baśniowy świat przeplatający się z koszmarem. Z ilustracjami rodem z książek dla najmłodszych, łączy temat tortur, opresji, dziecięcych traum i perwersji. Pod postacią bajkowych scen porusza najbardziej drastyczne tematy i ukazuje świat pełen przemocy i patologii. O jakiej artystce mowa?

Aleksandra Waliszewska jest absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie w 2001 roku uzyskała dyplom z wyróżnieniem w pracowni prof. Wiesława Szambrowskiego. Specjalizuje się w szeroko pojętych sztukach wizualnych. W 2008 roku zrezygnowała z malarstwa sztalugowego na rzecz gwaszy, które tworzy się za pomocą farby wodnej z domieszką kredy lub bieli z dodatkiem gumy arabskiej.

Jej twórczość została doceniona przez przyznanie jej stypendium Ministra Kultury i Sztuki w 2003 roku. W wywiadach dla prasy wspominała, że jej prace to połączenie własnych przemyśleń i obserwacji z motywami wybranymi z dawnego malarstwa. Obecnie jej obrazy cieszą się coraz większą popularnością.

Dominującym motywem w jej dziełach są kobiety lub małe dziewczynki, znajdujące się w opresji, będące ofiarami lub prowokatorkami przemocy.

Większość obrazów jest malowana w baśniowej oprawie, która kontrastuje z drastycznymi problemami, których podejmuje się malarka. Wszystko, co mogłoby wydawać się nam urocze, Waliszewska potrafi przedstawić w makabrycznej scenerii, w której role ofiary i oprawcy potrafią się odwrócić. Dzieła artystki, mimo że pozostają wytworem wyobraźni, są niezwykle dopracowane, przez co stają się niezwykle przekonujące w odbiorze.

Mimo kontrowersyjnego, ironicznego sposobu przedstawiania szokujących zjawisk, artystka nie zahacza ani o banał, ani o niesmaczną formę. Jej technika w swojej bezpośredniości zachwyca wirtuozerią, z którą realizuje swój zamysł. Przekaz jej obrazów urzeka prawdziwością i zawieraniem w nich emocjami. Wydarzenia zobrazowane na kartkach są tylko pozornie niemożliwe. Najbardziej szokujące sytuacje, mimo baśniowej oprawy, są zaprezentowane jako realna ewentualność. Jej prace nie mają na celu epatować perwersją, jest artystką, która nadaje realny kształt lękom i właśnie dlatego zostaje doceniona przez coraz więcej osób.

Artystka ma fanpage na Facebooku, gdzie można zobaczyć jej obrazy.

WIKTORIA MAJCHRZYCKA
wiktoria_majchrzycka
@interia.pl

Ulicę hrabia ma!

Kanałowa, Wietrzna, Latawcowa, Ametystowa – to tylko kilka przykładów niezbyt wyszukanych nazw wrocławskich ulic. Jak to możliwe, że nadajemy im takie określenia, a komediopisarz Aleksander Fredro nie doczekał się choćby małego zaułka swojego imienia? Na szczęście to samo pytanie zadała sobie radna Wanda Ziembicka-Has.

To właśnie ona była inicjatorką nadania odcinkowi między placem Uniwersyteckim a ulicą Grodzką imienia wybitnego komediopisarza. Kiedyś patronował już tej ulicy, ale przemianowano ją na Stalingradzką. Choć do dawnej nazwy wrócono w grudniu ubiegłego roku, to oficjalne uroczystości odbyły się w poniedziałek, 15 września. Uświetnił je gość specjalny, potomek hrabiego, ksiądz Adam Fredro-Boniecki.

Razem z doktorem Uniwersytetu Wrocławskiego Bogusławem Bednarkiem opowiedzieli historię rodu, z którego wywodził się autor „Zemsty”. Wanda Ziembicka-Has przypomniała, że hrabia gościł w naszym mieście dwukrotnie – w 1813 roku jako żołnierz wojsk napoleońskich i w roku 1853. Prezydent Rafał Dutkiewicz stwierdził jednak, że twórca „Małpy w kąpielni” mieszka we Wrocławiu i codziennie widzi go przez okno swojego gabinetu w ratuszu.

Cieszą się starsi, radują
młodzi

Prezydent Dutkiewicz i ksiądz Fredro-Boniecki dokonali odsłonięcia nie tylko tabliczki z nazwą ulicy, ale też kamienia z fragmentem wiersza komediopisarza: „Jeżeli się przyłożył choć w najmniejszej części do sławy swego kraju, do dobra współbraci, to nagroda poety, tej nigdy nie straci”. Następnie zasadzono

Drzewko Fredrowskie – gledicję trójcierniową.

Po części oficjalnej nadszedł czas na występy artystyczne. Specjalnie na tę okazję piosenkę skomponował znany z kabaretu „Elita” przewodniczący Komisji Kultury Rady Miejskiej Jerzy Skoczylas. W jej wykonaniu uczestniczyli przebrani w stroje z epoki Fredry uczniowie i nauczyciele XIII LO we Wrocławiu. Nie ma się co dziwić, wszakże to jedyna w naszym mieście szkoła, której hrabia patronuje już od 38 lat. Przyjemna, skoczna melodia szybko przypadła do gustu także

pozostałym gościom i zdawało się, że radosnym śpiewom nie będzie końca.

Pan Aleksander schodzi
z pomnika

Dalsze uroczystości odbyły się na wrocławskim Rynku, tuż obok specjalnie opakowanego pomnika wielkiego Polaka. Wręczono nagrody w konkursie plastycznym „Ilustracje do dzieł Aleksandra hrabiego Fredry”. Co ciekawe, swoją podobiznę w krzywym zwierciadle otrzymał z rąk Rafała Dutkiewicza także potomek Aleksandra. Był

to prezent z okazji niedawno obchodzonych osiemdziesiątych urodzin, nie mogło zatem zabraknąć gromkiego „Sto lat” zaśpiewanego przez wszystkich zebranych.

Na zakończenie znów zabrzmiała radosna piosenka, która spotkała się z dużym uznaniem przechodniów. Ich uwagę przyciągały także nietypowe stroje licealistów, co pokazuje, że były one świetnym dopełnieniem udanej uroczystości.

„Trzynastka” pamięta

Od 18 października 1976 roku Liceum Ogólnokształcącego nr XIII we Wrocławiu patronuje Aleksander Fredro. W 38. rocznicę nadania szkole imienia uczniowie i nauczyciele uczczą pamięć wybitnego pisarza. Zaplanowano m.in. konkursy plastyczne i inscenizacje.

AGATA UDAŁA
agata.udala@gmail.com



Na zdjęciu od lewej: ksiądz Adam Fredro-Boniecki i prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz.

Sztuczne piękno

Codziennie obserwujemy zmieniający się świat. Sami dążymy do perfekcji, przestrzegając ustalonych reguł. Chcemy posiadać więcej, zdobywać najwyższe szczyty.

Ambicje napędzają ludzi do działania. Jednak zawyżone cele mogą prowadzić do chorobliwych myśli, depresji z powodu kilku porażek. Warto zastanowić się, ile prawdy jest w ofercie kredytu mieszkaniowego, cenie biletu last minute lub wyglądzie modelek z ekranów telewizorów. No właśnie, co z tą urodą?

– Wiele młodych dziewczyn przychodzi do mojego zakładu ze stertą gazet. Wyszukują w nich makijaż, który chciałyby mieć. Niestety, nie jestem w stanie pomalować piętnastolatki

tak, żeby wyglądała jak modelka. Problemy z cerą, świecąca skóra lub rzadkie rzęsy nie pomagają w takim zadaniu. Tym bardziej że dziewczyna z czasopisma to dzieło Photoshopa – wypowiada się kosmetyczka Izabela Krzyszkowska.

Kobiety boją się braku akceptacji. Nie tylko ze strony mężczyzn, ale i innych pań. Naturalne piękno jest wielką wartością. Kosmetyki są po to, aby je podkreślać, a nie tworzyć teatralną maskę na żywej osobie. Mogą odmłodzić lub postarzyć. Wszystko

zależy od tego, jaką posiadamy o nich wiedzę i jak je stosujemy.

Kiedy oglądamy ogromne billboardy, przejeżdżając przez centrum miasta, często zastanawiamy się nad postacią, która reklamuje dany produkt. Gdybyśmy przyjrzeni jej się dokładnie, z łatwością moglibyśmy stwierdzić, że nie jest to naturalne zdjęcie. W dzisiejszych czasach nikogo nie dziwi, że za pomocą odpowiednich programów można zmienić kogoś diametralnie. Jednak czy warto?

Sądzę, że ludzie, którzy patrzą z zaciekawieniem na te plakaty, reklamy z wizerunkami sztucznych twarzy, bez ani jednej zmarszczki mimicznej na skutek zbyt dużej ilości botoksu, zastanawiają się, jak inni ich widzą. Zatem nie warto. Często sprawia to ludziom przykrość, jest źródłem kolejnych kompleksów dotyczących

wyglądu. Świat pędzi naprzód, a wszyscy próbują za nim nadążyć.

– Kiedy miałam dwadzieścia lat, kobiety inaczej wyglądały. Owszem, były kosmetyki, ale drogie. Często sprowadzane z krajów Europy Zachodniej, kusity swą oryginalnością. Naturalność stała na piedestale jako wartość. Nie znaczy to, że panie nie używały perfum, pomadek czy też czarnej kredki. Jednak teraz gama produktów jest nieporównywalna do tamtych lat. Cieszę się, że bez problemu mogę kupić w drogerii maskę z alg albo minerały z Morza Martwego. Obserwując kobiety już jako dojrzała pani, mogę stwierdzić, że wiele z nich wzoruje się na typach z reklam. Niesłusznie, ponieważ telewizja maskuje wiele niedoskonałości, tuszuje braki, wady. Nie ma osób o nieskazitelnej skórze, paznokciach, które mogą przebić stal, ani o włosach sięgających do kostek. Niepotrzebnie dążymy do stworzenia drugiego ja, gdy wystarczy jedynie wydobyć z siebie piękno, które mamy w naturze – wypowiada się Danuta Wróbel.

To piękne i prawdziwe słowa. Zgłębiając się w ich treść, łatwo dostrzec prosty wniosek: korzystajmy z dóbr dzisiejszej kosmetyki, ale pamiętajmy, że żyjemy naprawdę, a nie gramy na deskach teatru.

MARTA JACKO
marta.jac@interia.pl



Fot. Sara Niewiejska

Nie tylko polski

Rozmowa z przewodnikiem turystycznym MARIĄ JASIUKIEWICZ o dolnośląskiej stolicy kultury

► Dlaczego tak dużo obcokrajowców odwiedza nasze miasto?

– Bo warto. W sumie nie ma się co dziwić. Wrocław przez dłuższy okres był poza granicami państwa, stąd turyści to głównie emeryci i renciści odbywający podróże sentymentalne. Wielu z nich chce zobaczyć swoje mieszkania i odwiedzić miejsce, z którym są związani.

► A co z tymi, którzy są we Wrocławiu po raz pierwszy?

– Na Rynku można spotkać Hiszpanów, Włochów, Brytyjczyków, Rosjan, Ukraińców. Wiąże się to z tym, że wiele wrocławskich szkół realizuje projekty wymiany międzynarodowej typu „Erasmus” czy „Comenius”. Kolejnym czynnikiem jest bogactwo kulturowe dolnośląskiej stolicy.

► Czy Wrocław jest tolerancyjnym miastem? Jakich ludzi można tu spotkać?

– Kreuje się na tolerancyjny. Blisko Rynku mamy Dzielnicę Wzajemnego Szacunku i Tolerancji oraz Dzielnicę Czterech Wyznań. To wszystko jednak zależy od mieszkańców. Moim zdaniem jesteśmy otwarci na to, co nie wymaga wysiłku. Ale staramy się.

► Gdyby nie historia i to, że Wrocław przez ponad sześćset lat był poza granicami kraju, dziś wyglądałby inaczej?

– Każda nacja wnosi własne elementy architektoniczne i kulturowe. W związku z tym z każdego okresu można znaleźć jakieś pamiątki. Jest bogaty w zabytki i gdyby był on tylko polski lub tylko niemiecki, nie wyglądałby tak jak teraz.

► Idąc ulicami swojego miasta, dopiero po dwudziestu latach odkrywamy nowe, bardzo ciekawe miejsca. Wrocław kryje ich dużo. O czym mowa?

– Chodzi tu o miejsca, których w codziennym pośpiechu nie zauważamy. Kiedy ostatni raz odwiedziliśmy park Szczytnicki, piękny dziedziniec Ossolineum albo bulwar Piotra Włostowica? Z pewnością wielu z nas nie wie, że na jednym z wrocławskich budynków jest podpis architekta Plüddemanna.

► Wrocław coraz bardziej zajmuje się popularyzacją sportu. Jakie działania podejmują władze miasta?

– Od dawna działa już Stowarzyszenie Promocji Sportu FAN oraz PTTK organizujące

wycieczki turystyczno-krajoznawcze. Wiele osób też biega, wykorzystując kilometry wałów nad Odrą. Przygotowując się do World Games w 2017 roku, miasto stara się jeszcze bardziej zachęcić do aktywności fizycznej.



Fot. Aleksandra Przestrzelska

Wiadra pełne dobra

W tegoroczne wakacje Internet zalany został falą filmików pod tajemniczą nazwą Ice Bucket Challenge. Bawią się wszyscy: gwiazdy filmowe, piosenkarze, sportowcy, blogerzy a nawet politycy. Czym jest to zagadkowe przedsięwzięcie? Czy ma ono jakiś ukryty cel?

Ice Bucket Challenge dosłownie z angielskiego oznacza „wyzwanie z wiadrem lodowatej wody”. Nominowane osoby mają dwadzieścia cztery godziny na nagranie filmu, na którym wylewają na siebie zimną wodę. Ponadto wpłacają dziesięć dolarów na rzecz ALS Association – amerykańskiej fundacji wspomagającej osoby chore na stwardnienie zanikowe boczne (ALS). Jeśli tego nie zrobią, zobowiązane są do przelania stu dolarów na konto tej organizacji. W przypadku wykonania zadania osoba może nominować do zabawy kolejnych trzech wybrańców.

Cała akcja ma na celu zwrócenie uwagi społeczeństwa na uciążliwe schorzenie, jakim jest ALS.

Co to za choroba?

Stwardnienie zanikowe boczne jest nieuleczalną, postępującą chorobą układu nerwowego. Jej pierwszymi objawami są osłabienie i niedowład kończyn dolnych oraz zaniki mięśniowe. Prowadzi ona do całkowitej utra-

ty sprawności ruchowej, paraliżu i w ostateczności śmierci.

Polska też się bawi

W naszym kraju Ice Bucket Challenge również osiągnął dużą popularność, w szczególności wśród sportowców. Do akcji włączyli się między innymi: Wojciech Szczęsny, Robert Lewandowski czy Agnieszka Radwańska. Do challenge'u został nominowany nawet sam Donald Tusk. Odmówił jednak wykonania zadania, ale zobowiązał się do wpłaty pieniędzy.

Nowy prezydent Europy nie był jedyną wyznaczoną osobą w kręgu politycznego. Udział w zabawie wzięły również posłanki Platformy Obywatelskiej Monika Wielichowska, Iwona Guzowska i Renata Zaremba.

Nie zawsze według zasad

Niestety, nie każdy zrozumiał ideę tej zabawy. Wiele filmików zamieszczonych na Facebooku,

► W ciągu dnia czujemy się swobodnie. Nocny spacer po parku też może być bezpieczny?

– Jako wrocławianka odważyłabym się samotnie przejść przez Wyspę Słodową, park Staromiejski i Południowy, ale jak to mówią – w kupie rażniej, więc po co ryzykować?

Rozmawiały:

MARTA NAMYŚLAK
KAROLINA GOŁKOWSKA
i JUSTYNA STRZEBAK

Twitterze czy Instagramie nie ma nic wspólnego z akcją charytatywną. Przeglądając profile swoich znajomych, którzy wykonali to zadanie, nie znalazłam NIKOGO, kto wspomniałby o wsparciu finansowym jakiegokolwiek fundacji. Za to wiele razy usłyszałam: „Macie dwadzieścia cztery godziny, a jak nie, to trzy piwka dla mnie”, „Jeśli tego nie zrobisz w wyznaczonym czasie, stawiasz mi lody”, „Jak nie zdążysz, to kupujesz mi cheeseburgera”.

Ludzka głupota oraz chęć wylansowania się nie zna granic. Bardzo przykro patrzy się na roześmiane dwunastolatki w mokrych podkoszulkach, które są bardzo szczęśliwe, że właśnie oblały się wodą. Na całe szczęście są jeszcze osoby nieustannie przypominające w swoich filmach o idei tej słynnej, a jakże pomysłowej akcji.

AGATA ZIOBRO
agataziobro@o2.pl

SZLIF ZAPRASZA
kino | nowe horyzonty

Warto obejrzyć

Jedną z ciekawszych pozycji wśród wrześnieowych premier był film „Efekt domina” w reżyserii Elwiry Niewiery i Piotra Rosołowskiego. Jest to historia Nataszy i Rafaela żyjących w naznaczonej wojną domową Abchazji. Główny bohater liczy, że ich ciężki los odmień organizowane przez niego mistrzostwa świata w domino.

Wśród dramatów znajdziemy także „Pewnego razu na dzikim wschodzie” oraz „Witaminy w Nowym Jorku”.

Miłośnikom starszych filmów polecamy wyprodukowany w 1962 roku thriller psychologiczny „Co się zdarzyło Baby Jane?”. Warto także zwrócić uwagę na „Porwanie Michela Houellebecqa” o tajemniczym zaginięciu francuskiego pisarza.

Fani muzyki klasycznej powinni zobaczyć produkcję poświęconą światowej sławy dyrygentowi Markowi Minkowskiemu „W drodze do Jah”. Natomiast na rodzinne popołudnie idealna będzie „Pszczółka Maja”.

Nowy, ciekawszy rozdział

Już chyba nikt nie łudzi się, że piłkarski Śląsk Wrocław stać na powtórzenie wyczynu sprzed dwóch lat, kiedy to zdobył mistrzostwo Polski. W klubie doszło do wielu drastycznych zmian, a nawet najzagorzalsi kibice nie mają pojęcia, o co powalczy WKS w niedawno rozpoczętym sezonie.

Od czasu mistrzostwa Śląsk Wrocław, grający pod wodzą Oresta Lenczyka, a następnie Stanisława Levego, popadł w marazm. Kibice, którzy cieszyli się z wyników i stylu, w jakim wygrywali wrocławianie, nagle poczuli się nieco zbici z tropu. Pomimo tego, że klubem rządził milioner Zygmunt Solorz, wyprzedawano z upo-

rem maniaka kolejnych graczy stanowiących o sile zespołu, pojawiły się problemy finansowe i widmo bankructwa. Drużynie groził spadek z Ekstraklasy. W klubie pojawił się jednak ktoś, kto miał być impulsem dla zawodników i po którym spodziewano się, że rozpocznie nowy rozdział w historii Śląska – Tadeusz Pawłowski.

Nowa filozofia klubu

Pomysł na obsadę trenera był prosty – kto mógłby podnieść upadającą drużynę, jak nie człowiek, który grał w Śląsku, który utożsamia się z wrocławskim klubem?

Pawłowski rozpoczął swoją misję 24 lutego br. i udowodnił, że warto było na niego postawić. WKS zakończył rozgrywki na dziewiątej lokacie (na szesnaste), a ostatnie mecze pokazywały spory potencjał zespołu.

Nadeszło lato, z klubem pożegnało się wielu doświadczonych zawodników, którzy pamiętali jeszcze mistrzowski sezon. Trener Pawłowski zdawał sobie sprawę, że nie ma szans na przyjeździe do Wrocławia równie dobrych fachowców. Budżet klubu był skromny, choć już ustabilizowany. Podjęto więc decyzję, że

do Śląska trafić będą młodzi, utalentowani zawodnicy, którzy we Wrocławiu będą mieli szansę zaistnieć w poważnym futbolu, a przy okazji nie zażądają ogromnych pensji. Tak do klubu trafili ludzie, którzy pochodzili z rejonu i kibicowali Śląskowi – Krzysztof Danielewicz, Waldemar Gancarczyk czy Michał Bartkowiak. Ponadto będący bez formy, Sebastian Milla schudł dziesięć kilogramów, a na osłodę kibicom, na stare śmieci wrócił reprezentant Polski Piotr Celeban. W klubie wydarzyło się tak dużo, że każdy fan z utęsknieniem czekał już na rozpoczęcie nowego sezonu.

Emocji nie brakuje

Piłkarze udowodnili, że warto było czekać. W pierwszej kolejce Śląsk pewnie pokonał wicemistrza kraju, Ruch Chorzów, 2-0. Tylko co z tego, skoro tydzień później podopieczni Pawłowskiego poległ z kretesem z przeciętną Pogonią Szczecin aż 1-4?

Można zarzucić piłkarzom, że przez ponad dwa miesiące trwającego sezonu nie ustabilizowali formy. Z drugiej strony, nie można narzekać na miejsce Śląska w tabeli, bowiem plasuje się w pierwszej

osemce. Trzeba także przyznać, że mecze dostarczają wyjątkowo dużo emocji – Śląsk potrafi wygrać jak i przegrać z każdym. Jest drużyną nieprzewidywalną, która jest gwarantem widowiskowej piłki i wielu goli. Świetnym przykładem jest wyjazdowy mecz z Legią Warszawy, w którym WKS walczył z mistrzem Polski jak równy z równym, stworzył świetne widowisko, ale ostatecznie przegrał 3-4.

Niepewna przyszłość

Pomimo całkiem niezłych wyników i ustabilizowanej sytuacji finansowej, klub może w najbliższym czasie borykać się z problemami. Już w listopadzie wybory nowego prezydenta miasta, a co za tym idzie, kolejne pomysły na Śląsk, w którym miasto ma udziały. Najciekawsza wydaje się wizja kandydata Nowej Prawicy, Roberta Maurera, który postuluje prywatyzację klubu. Co więcej, uważa także, że sprzedaż Stadionu Miejskiego, na którym mecze rozgrywa Śląsk, jest konieczna. Rozważy nawet zburzenie areny Euro 2012. Wszystko po to, by miasto nie dopłacało na utrzymanie obiektu. Jedno jest pewne – wszystko w nogach piłkarzy, którzy dobrymi wynikami muszą udowodniać, że warto wspierać Śląsk.

MARCIN OBŁOZA
marcin13-97@tlen.pl



Fot. Marcin Obłozza

Felieton Szlifu

W dzisiejszym świecie roi się o superbohaterów idealnie wykreowanych przez reżyserów, pisarzy i twórców komiksów. Każdy ma swojego ulubieńca, który staje się

Jednym słowem ideał. Sherlock Holmes, bohater powieści Arthura Conana Doyle'a. Genialny detektyw, rozwiązujący kryminalne zagadki dzięki swojej szerokiej wiedzy na temat m.in. psychologii, chemii i matematyki. Uzależniony od tytoniu, kokainy i morfiny. Harry Potter, mały czarodziej,

popularnością, większość pewnie o nich nie słyszała. Nie pisze się o nich książek, nie kręci filmów... Krzysztof Kozak, zwycięzca II edycji programu „Got to dance. Tylko taniec”, jest bohaterem, ponieważ tancerz choruje na stwardnienie rozsiane. Robi to, co jest dla niego najważniejsze i doskonale mu

transport specjalistyczną karetką z tlenem do kliniki w Austrii.

Zamiast zachwycać się fikcyjnymi postaciami, zainteresujmy się i bierzmy przykład ze zwykłych

bohaterów, którzy zrobili wielkie rzeczy, poświęcali własne życie, żeby ratować innych.

AGNIESZKA ROSZKO
tulipann4@o2.pl

Superhero

wzorem do naśladowania. Chcemy być jak oni.

James Bond wymyślony przez Iana Fleminga. Tajny agent 007, inteligentny, przystojny, wykształcony, robi niemożliwe rzeczy.



Fot. Agata Ziobro

podbił serca młodych ludzi, większość z nich uważa, że dzięki niemu mieli cudowne dzieciństwo. J.K. Rowling wydała siedem części opisujących przygody otoczone niezwykłą magią.

Oprócz tego można wspomnieć o Iron Manie, Spidermanie, Batmanie i oczywiście Supermanie. Ratuja świat przed złem. Jedyne ich wadą właściwie jest to, że nie istnieją.

„Kick-Ass”, amerykańska komedia opowiadająca historię młodego chłopca zafascynowanego światem komiksów, który chce być superbohaterem, jak jego idole. Na początku robi z siebie pośmiewisko, ale nie zraża się i dalej głęboko wierzy w swoje plany. Jego ambicje przynoszą zaskakujący efekt. Dlaczego tak bardzo dążymy do tego, by się do kogoś upodobnić?

W rzeczywistym świecie również mamy superbohaterów, niestety nie cieszą się aż tak dużą

to wychodzi. Można powiedzieć, że ma przewagę nad chorobą. Paweł Bożym uratował grupkę ludzi uwięzionych na jeziorze Dargin. Podczas nawałnicy ich jacht się przewrócił na środku jeziora, a on, narażając swoje życie, wypłynął motorówką, by ich ratować.

Grzegorz Piątek skonstruował robota, który ma pomagać w chodzeniu chłopcom cierpiącym na porażenie mózgowie. Nie otrzymał żadnej pomocy finansowej na realizację swoich planów; żeby pomóc, wziął kredyt, a roboty podarował synom swojego przyjaciela za darmo. Marcin Zmiarowski, aby pomóc dzieciom z małej wioski w rozwijaniu zainteresowań, zaciągnął kredyt i kupił busa, dzięki któremu dzieci mogły dojeżdżać na treningi. Paweł Chodziński uratował przyjaciółce życie. Jedyne ratunkiem dla niej był przeszczep płuc; dzięki zbiorce pieniędzy i plakatom informującym o akcji możliwy był

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

5 września w auli Liceum Ogólnokształcącego nr XIII odbyło się pierwsze w bieżącym roku szkolnym spotkanie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej. Miało ono charakter organizacyjno-integracyjny. Nowym członkom z klas pierwszych zaprezentowano reguły funkcjonowania Wszechnicy. Następnie odbyło się uroczyste wręczenie legitymacji dziennikarskich czterem uczestnikom z klasy drugiej. Część integracyjna rozluźniła atmosferę i zbliżyła do siebie członków Wszechnicy.

12 września gościem Wszechnicy był Sławomir Chelchowski, kierownik referatu i rzecznik pra-

sowy wrocławskiej Straży Miejskiej. Po tym jak nasz gość przedstawił kompetencje straży, udało mu się rozwiązać wszelkie wątpliwości dotyczące zakresu jej działania.

19 września uczestnicy spotkania mieli okazję poznać tajniki savoir-vivre'u. Opowiadał nam o tym redaktor Wojciech Chądzyński – opiekun Wszechnicy i prowadzący warsztaty dziennikarskie w XIII Liceum Ogólnokształcącym. Dowiedzieliśmy się, że savoir-vivre, z francuskiego „znajomość życia”, to nie tylko dobre maniere, ale przede wszystkim okazanie szacunku drugiemu człowiekowi.



Polub nas na:
[facebook.com/szlif.lo13](https://www.facebook.com/szlif.lo13)



Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

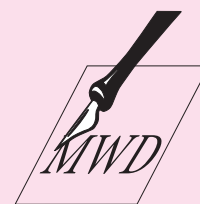
Adres redakcji: ul. Haukego-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
www.lo13.wroc.pl; szlif13@gmail.com

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu, pod patronatem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Dolny Śląsk

Opiekun:	Wojciech Chądzyński
Przewodnicząca MWD:	Paulina Piotrowska
Redaktor naczelna:	Sara Niewiejska
Zastępca red. naczelnej:	Maciej Szydłowski
Sekretarz redakcji:	Agata Udała
Szefowa fotoreporterów:	Wiktoria Żurek
Korekta:	Marta Mianowska, Weronika Herold, Maja Gorgoń
Przygotowanie do druku:	I-BiS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. 71 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.00 do XIII LO przy ul. Haukego-Bosaka 33.